

Skazani na bylejakość?

■ Andrzej Jajszczyk*

Jakość szkół wyższych zależy nie tylko od poziomu finansowania, lecz przede wszystkim od istnienia zdrowych mechanizmów wymiany kadr wewnątrz uczelni. W naszym systemie Albert Einstein nie miałby żadnego szans

Posiadanie elit intelektualnych wspieranych przez dobrze wykształconych obywateli będzie decydowało o miejscu Polski w świecie. Wystarczy prześledzić źródła sukcesu azjatyckich tygrysów. Niestety, nasze szkoły wyższe wyglądają słabo. Na liście 500 najlepszych uniwersytetów świata są tylko dwa polskie uniwersytety, i to w czwartej setce. Nie ma polskich szkół na liście stu najlepszych uczelni europejskich.

Należy docenić, że uczelnie zdobyły się w ostatnich latach na ogromny wysiłek, znacznie zwiększając liczbę kształconych studentów przy niewiele zmienionych nakładach. Duże zasługi mają też uczelnie niepubliczne, mimo ich bardzo zróżnicowanego poziomu. To jednak nie wystarczy. Potrzebujemy przynajmniej kilku uczelni na najwyższym poziomie światowym. Alternatywą jest odpływ najzdolniejszych absolwentów szkół średnich na studia za granicą, szczególnie ułatwiony po przystąpieniu do UE. Spora część z nich już do Polski nie wróci.

Często przedstawia się prostą receptę: więcej pieniędzy z budżetu. Rzeczywiście, poziom finansowania szkolnictwa wyższego i nauki jest w Polsce żenująco niski. Ale nawet wpompowanie dużo większych środków w nasze uczelnie nie pozwoli, moim zdaniem, zbliżyć się znacząco do najwyższego poziomu światowego. Z wielu przyczyn. Postaram się je krótko omówić.

Skostnienie kadrowe

Polskie uniwersytety cierpią na sklerozę związaną z brakiem wymiany kadr. Typowy model kariery to zdobywanie stopni — od magistra, przez doktora, doktora habilitowanego, aż do profesora, a potem praca do emerytury w tych samych murach. Brak ruchliwości kadr powoduje przywiązanie do zastanych rozwiązań, uwiąd dyskusji i ułatwia tworzenie się trwałych, nie zawsze pozytywnych układów personalnych. Sprzyja temu fikcja konkursów na stanowiska. Na ogół warunki konkursu są tak sformułowane, że zgłasza się i wygrywa z góry znany kandydat.

Dramatyczne konsekwencje ma socjalne podejście do zatrudnienia. Bardzo trudno jest zwolnić asystenta, gdy po dwóch latach pracy okaże się, że dana osoba nie nadaje się do zawodu. Jeżeli asystent wykonuje swoje elementarne obowiązki, choćby na najniższym poziomie, można go zwolnić dopiero po ośmiu latach — o ile oczywiście nie zrobi w tym czasie doktoratu. Na szczęście ostatnio uczelnie radzą sobie z tym problemem, ograniczając zatrudnianie absolwentów na stanowiskach asystentów — w zamian za to przyjmują ich na studia doktoranckie.

Jeszcze gorzej wygląda sprawa z adiunktami. W mojej Alma Mater większość pracowników na tym stanowisku ma gwarancję czterdziestoletniego zatrudnienia! W tym okresie powinni zrobić habilitację. Nawet jeśli są kiepskimi dydaktykami i pozorują pracę naukową, publikując od czasu do czasu jakiś marny artykuł, zwolnienie ich graniczy z cudem. Nie przeszkadza im to niekiedy w pracy na innych uczelniach czy prowadzeniu własnego biznesu. Co prawda nowo mianowani adiunkci muszą zrobić habilitację już w ciągu dziewięciu lat po doktoracie (z możliwością przedłużenia o cztery dodatkowe lata).

Niepokoją poselskie poprawki do nowej ustawy o szkolnictwie wyższym, które zmierzają do utrudnienia zwolnień złych pracowników naukowych przez ograniczenie możliwości zatrudniania na kontraktach.

Profesorów, nawet gdy rażąco zaniedbują swe obowiązki, nie da się właściwie zwolnić. Powołujemy się przy tym często na nieusuwalność mianowanych profesorów w USA. To jednak mit, ponieważ

mianowanie oznacza tam, że pracownik ma gwarancję pracy aż do emerytury pod warunkiem odpowiednich wyników w nauce, dydaktyce i współpracy z przemysłem. Pracownicy źle wypadający w dwóch czy trzech kolejnych ocenach (również studenckich) są po prostu zwalniani. W Polsce jest to nie do pomyślenia.

Zbieranie punktów

W teorii fundusze na badania czy awanse zależą od wyników pracy. Praktyka jednak często odbiega od tego ideału. Zanika krytyka naukowa. Napisanie surowej recenzji doktoratu czy wniosku habilitacyjnego uchodzi coraz częściej za nietakt. W wyborze recenzentów pomija się uznanych — niekiedy w skali światowej — ekspertów, a powołuje osoby, o których wiadomo, że "nikomu nie zrobią krzywdy". Rzadko prosi się o recenzje specjalistów z zagranicy. A przecież nauka jest ze swej natury globalna. Rady naukowe pod presją czasu ograniczają dyskusje merytoryczne do minimum.

Komitet Badań Naukowych i część uczelni podejmuje walkę z niesprawiedliwą, uznaniową, zależną od układów oceną prac i projektów badawczych. Brak rzetelnej oceny osiągnięć próbuje się zastąpić rozbudowanymi systemami punktowymi. Choć podejście to ukróciło praktyki przyznawania funduszy po znajomości, doprowadziło, niestety, do kolejnych patologii. Na uczelniach odbywa się gorączkowe zbieranie punktów. Lepszy jest ten, kto zbiera ich więcej, nawet gdyby jego rozliczne artykuły były całkiem miłątkie. W naszym systemie Albert Einstein nie miałby żadnych szans — po prostu publikował zbyt mało.

Ze zbieraniem punktów wiąże się rozwój turystyki naukowej. Często prezentuje się prace na trzeciorzędnych konferencjach — a punkty za publikacje zagraniczne lecą. Na konferencjach o uznanej renomie polskich prac jest jak na lekarstwo. Publikowane są natomiast w czasopismach pseudonaukowych — pod bardzo mądrymi tytułami kryją się często pisemka o znikomych nakładach, których tak naprawdę nikt nie czyta. Mimo zachęt ze strony systemów punktowych rzadko widać prace Polaków w czasopismach najwyższej rangi.

Uczelniana demokracja

W polskich uczelniach trwają wybory władz. Rektorów, dziekanów, przedstawicieli do senatów i rad wydziałów wybierają w tajnych głosowaniach elektorzy reprezentujący poszczególne grupy pracownicze. Wielu przedstawicieli środowiska z dumą podkreśla w mediach demokratyczny charakter tego procesu.

"W demokracji — pisał Arystoteles — obywatel musi przywyknąć do zdawania się na siebie samego, co dla wielu jest ciężarem ponad ich siły. Musi też myśleć o sprawach publicznych jak o swoich własnych, co dla niejednego jest ponad słaby rozum i lichy charakter". Niestety, z różnych miejsc kraju dochodzą sygnały, że myślenie o interesie publicznym, czyli o długofalowym dobru uczelni, schodzi na plan dalszy w konfrontacji z interesami poszczególnych grup. Zmówienie się np. dwóch dużych wydziałów w połączeniu ze względną nadreprezentacją grup pracowniczych zainteresowanych utrzymaniem status quo, a także stosunkowo łatwych do manipulowania studentów, pozwala ustawić wynik wyborów. W rezultacie najwyższe stanowiska w wielu uczelniach obejmują osoby bez wizji i charakteru, uwikłane w dodatku w zobowiązania wobec grup, które doprowadziły do ich wyboru. W dłuższej perspektywie musi to prowadzić do erozji życia akademickiego.

Decyzje podejmowane większością głosów prowadzą często do tego, że środki w uczelni przydziela się nie tym jednostkom, które otwierają nowe i obiecujące kierunki badań, lecz tym, które mają najwięcej pracowników. Katedrom o bardzo długiej tradycji, ale zajmującym się tematyką przebrzmiałą i nikomu niepotrzebną. Tak utrwała się przestarzała struktura uczelni.

Podobne mechanizmy funkcjonują w wyborach do organów ogólnopolskich — np. do Komitetu Badań Naukowych (a obecnie w wyborach części przedstawicieli Rady Nauki) czy Centralnej Komisji do spraw Stopni i Tytułów. Nie jest tajemnicą, że duże uczelnie umawiają się, by w tajnych (a jakże!) głosowaniach wybrać swoich przedstawicieli. Profesorowie spoza układu, nawet najbardziej godni, nie mają żadnych szans na wybór. W demokracji jest rzeczą normalną, że istnieje cywilizowany lobbying, że próbuje się

przekonywać wyborców. Ważne jednak, by — jak mówił Arystoteles — działo się to w interesie publicznym, a nie było wyrazem prywaty.

Za dużo priorytetów

Do słabości samych uniwersytetów dokłada się brak przemyślanej i jasno zdefiniowanej polityki naukowej państwa. Mamy raczej do czynienia z chwiejnym i podlegającym licznym naciskom, w miarę równomiernym rozdzielaniem zbyt szczupłych środków.

Przy różnych okazjach mówi się co prawda o priorytetach — ale jest ich zbyt dużo! W stosunkowo niezamożnym kraju, jakim jesteśmy, polityka naukowa nie może mieć charakteru socjalnego, wspomagającego słabo opłacanych naukowców. Musimy uzmysłwić sobie brutalną prawdę — należy skoncentrować się na badaniach, które bezpośrednio przyczyniają się do rozwoju kraju. Tak postępują od wielu lat państwa dużo od nas bogatsze. Należy oczywiście zrobić wyjątek wobec badań, których nikt poza nami nie robi — dotyczących polskiej historii, kultury czy geografii.

Ustalenie dwóch czy trzech priorytetów powinno być zadaniem rządu wspieranego przez zewnętrznych ekspertów. Nie można takich decyzji powierzyć nam — naukowcom — ponieważ niezmiennie prowadzi to do preferowania badań najsilniejszych grup interesu. Za priorytetami powinno iść znaczące finansowanie, a także staranna ocena uzyskiwanych wyników przez ekspertów spoza środowiska.

Jak z tego wyjść?

Obawiam się, że omawiana w Sejmie nowa ustawa o szkolnictwie wyższym nie zmieni radykalnie sytuacji. Jej zapisy — i tak już kompromisowe — rozmiękczone są przez naszych parlamentarzystów. Jedyne zdrowe mechanizmy rynkowe, nieograniczone przesadnie regulacjami i ingerencjami urzędników, mogą w dłuższej perspektywie spowodować, że polska nauka i szkolnictwo wyższe będą miały szansę dorównać najlepszym.

Niestety, wprowadzenie tych mechanizmów wymaga zmian w konstytucji. Po pierwsze, trzeba wprowadzić powszechną odpłatność za studia, uzupełnioną różnorodnymi systemami stypendialnymi. Pozwoli to na normalne konkurowanie uczelni — i państwowych, i niepublicznych. Dziś bowiem sytuacja jest patologiczna — renomowane uczelnie państwowe kształcą bezpłatnie dzieci z dobrze sytuowanych rodzin, mieszkające w dużych miastach, które mogły uczęszczać do najlepszych liceów i korzystać z płatnych korepetycji. Słabiej zaś przygotowane, pochodzące z mniej zamożnych rodzin dzieci z prowincji nie mogą dostać się do szkół państwowych i muszą studiować w płatnych uczelniach niepublicznych.

Wprowadzenie powszechnej odpłatności za studia ureguluje też problem naszych absolwentów podejmujących pracę za granicą. Obecnie mamy do czynienia z absurdalną sytuacją, gdy pieniądze podatników z biednej Polski służą kształceniu kadr dla szpitali czy firm informatycznych w bogatej Szwecji i Niemczech. Gdy za studia będzie się płacić, kształcenie studentów będzie biznesem jak każdy inny.

Co najważniejsze, wprowadzenie mechanizmów rynkowych pozwoli stopniowo eliminować te placówki, które będą oferować "gorszy produkt". Znikną z rynku bądź przejdą do trzeciej ligi edukacyjnej te uczelnie, które wybierają władze zainteresowane wyłącznie utrzymaniem status quo, które nie potrafią przystosować się do nowych wyzwań, a także te, w których można pracować byle jak. Eliminacji najgorszych sprzyjać też będzie obserwowane już dziś zmniejszanie się liczebności roczników opuszczających szkoły średnie.

Po drugie, trzeba zmniejszać ograniczenia towarzyszące podejmowaniu decyzji kadrowych w uczelniach. Jeśli uniwersytety chcą coś znaczyć na globalnym rynku nauki i edukacji, powinny zatrudniać wyłącznie ludzi najlepszych.

Kolejnym hamulcem dla kształtowania zespołów badawczych na najwyższym poziomie światowym jest "urawniłowka" płacowa. W ramach ustawowych widełek pensje naszych profesorów są bardzo zbliżone. W rezultacie światowa sława w bardzo poszukiwanej dziedzinie zarabia tyle samo co przeciętniak pracujący w dyscyplinie, w której jest nadmiar specjalistów. W szkołach z ambicjami utrudnia to

tworzenie zespołów podejmujących nowe kierunki badań, a także uniemożliwia koncentrację talentów. Trzeba pamiętać, że w uniwersytetach z czołówki rankingów światowych nie zatrudnia się na stanowiskach profesorskich własnych doktorantów (chyba że w międzyczasie odnieśli sukcesy gdzieś indziej). W krajach, gdzie te mechanizmy nie działają w sposób naturalny, próbuje się je wymuszać drogą administracyjną — np. w Niemczech nie wolno przez okres kilku lat zatrudniać doktorantów wypromowanych we własnej uczelni.

System wyboru organów jednoosobowych, w tym rektorów i dziekanów, w wielu uczelniach nie działa tak, by wybierano ludzi najlepszych. Mimo to uważam, że zmiana tego systemu powinna pozostać w kompetencji uniwersytetów. Najlepiej byłoby, gdyby o wyborze decydowali wyłącznie profesorowie. Uważam też, że należy dążyć do rozdzielenia stanowisk rektorów jako przedstawicieli świata akademickiego uczelni i menedżerów (np. z tytułem kanclerza) zarządzających dużym i skomplikowanym przedsiębiorstwem, jakim jest szkoła wyższa. Taki podział istnieje już w wielu uczelniach prywatnych.

Opowiadam się za jeszcze większą koncentracją środków na najlepszych uczelniach. Tylko wtedy mamy szansę na powstanie kilku uczelni mogących konkurować z najlepszymi uniwersytetami w Europie i na świecie, a także na stworzenie zaplecza intelektualnego dla naszej gospodarki i kultury. W wyborze najlepszych jednostek należy uwzględniać opinie instytucji spoza kraju bądź uznanych ekspertów zagranicznych wyspecjalizowanych w ocenianiu uczelni.

Nasza przyszłość w dużej mierze zależy od tego, jakie będziemy mieli szkoły wyższe. Ich jakość będzie zależała nie tylko od poziomu finansowania, lecz przede wszystkim od istnienia zdrowych mechanizmów wewnątrz uczelni i całego środowiska akademickiego. Jeżeli nie uda się stworzyć szkół zdolnych do konkurencji z najlepszymi na świecie, staniemy się co najwyżej zapleczem produkcyjnym dla innych, którzy będą spijali śmietankę związaną z innowacyjnością. Nastąpi też odpływ najzdolniejszych kadr — nie tylko związanych z techniką, fizyką czy biologią, ale również z kulturą i sztuką. ■

*Prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk wykłada w katedrze telekomunikacji Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie